

Katarzyna Bogdanowicz

„W czepku urodzona” - portret dyslektyka

Jestem dyslektykiem. Piszę ten tekst z nadzieją, że moja historia pomoże rodzicom i nauczycielom dzieci z dysleksją w pracy z takimi osobami jak ja.

W roku, kiedy przyszedłem na świat, mój starszy brat poszedł do szkoły. Był bardzo dobrym uczniem, bez żadnego wysiłku otrzymywał oceny bardzo dobre, podobnie jak i inne dzieci przyjaciół naszych rodziców. Obydwoje moi rodzice odnosili sukcesy na polu zawodowym. Moja mama – psycholog, zajmujący się problematyką dysleksji, zaczęła swoją karierę naukową na uniwersytecie. Wszyscy byli pewni, że ja również bez problemu na samych piątkach przejdę wszystkie etapy nauki szkolnej.

Jako dziecko rozwijałem się dobrze. Chodziłem na rytmikę, śpiewałem piosenki, recytowałem wierszyki i świetnie rysowałem. Jednocześnie wprowadzałem wszystkich w konsternację, myśląc kolację ze śniadaniem, rękę prawą z lewą oraz zamieniając pory dnia i roku. Mylone przez mnie przedrostki i przekręcone wyrazy wywoływały salwy śmiechu. Zdarzało mi się „przekąpać” i prosić o „zalokowanie” mi włosów; chodziłem też do kościoła w celu „zmodlenia się”. Rodzice do dzisiaj wspominają, że będąc już nastolatką, przysłałem kartkę z kolonii, gdzie opisywałem schronisko „nad lasem” (zamiast „pod lasem”).

Do zerówki poszedłem, gdy miałem 6 lat. Mniej więcej w tym samym czasie zostałem zdiagnozowany przez moją mamę jako dziecko ryzyka dysleksji. Rozpoczęła się długa droga krzyżowa codziennych ćwiczeń. Mama starała się, aby w miarę możliwości przybierały one formę zabaw i gier. Jednak w połowie roku szkolnego nauczycielka klasy „0” oświadczyła: „Niech się

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

państwo wezmą do pracy, żeby potem na nas nie było...” – nie wierzyła, że tak ciężko pracujemy w domu.

Byłam dobrze rozwiniętym i sprawnym fizycznie dzieckiem, dlatego rodzice zdecydowali, że będę chodzić do szkoły sportowej. Ta możliwość wyłoniła się w związku z akcją Akademii Wychowania Fizycznego poszukiwania talentów w pływaniu. Wszystkie 6-letnie dzieci z gdańskich przedszkoli uczęszczały przez trzy miesiące na zajęcia na AWF, gdzie pod czujnym okiem trenerów stawiały swoje pierwsze kroki na basenie. Mama, przyglądając się przez okno moim wyczynom, słyszała od innych matek wiele słów uznania pod moim adresem – „O, ta to na pewno nieraz pływała na basenie!”. Nie była tym zaskoczona. Wiedziała, że woda fascynowała mnie od najmłodszych lat.

Po trzech miesiącach treningu znalazłam się w grupie około 30 dzieci, którym zaproponowano naukę w klasie sportowej przy AWF. Moja reakcja była entuzjastyczna. Natomiast rodzice, którzy wcześniej nie planowali dla mnie sportowej kariery, długo się zastanawiali. Ostatecznie wyrazili zgodę, bo „skoro nie można się spodziewać, że będzie miała jakiegokolwiek osiągnięcia naukowe, niech lubi szkołę z powodu zajęć na basenie”. To zdanie, które najlepiej chyba tłumaczy ich decyzję, słyszałam w przeszłości wielokrotnie, ale tylko w kontekście moich zaskakujących „sukcesów naukowych” na dalszym etapie edukacji.

W szkole sportowej radziłam sobie dobrze jedynie z dwóch przedmiotów: plastyki i wf-u. Chodziłam na zajęcia wyrównawcze z matematyki, a z języka polskiego pomagała mi mama, która codziennie odrabiała ze mną lekcje. Pamiętam, że kiedy tylko otwierałam podręcznik szkolny, co stanowiło zapowiedź żmudnych i wielogodzinnych ćwiczeń w czytaniu i pisaniu, natychmiast dostawałam ataku ziewania. Często całymi godzinami siedziałyśmy nad jedną czytanką. Zdania: „Mama rak, tata rak, a my mamy tatarak” nie

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

zapomnę zapewne do końca życia (Mama: „Przeczytaj ten wyraz”, ja: „my-a-my-a”, Mama: „A jak to będzie brzmiało, gdy przeczytasz te litery razem?”, ja: „mama”, Mama: „przeczytaj następny wyraz”, ja: „ry-a-k” itd. aż do znudzenia). Nagminnie myliłam litery i robiłam błędy ortograficzne.

Wakacje zimowe w Zawoi do obiadu spędzałam na nartach, na których sobie bardzo dobrze radziłam. Po południu natomiast ćwiczyłam „trudne litery”: p-b-d-g. Sprawiają one dużo problemów dyslektykom, ponieważ są niemal identyczne, różnią się ułożeniem w przestrzeni. Ćwiczenia te miały charakter zabawy. Łączyły w sobie elementy Metody Dobrego Startu i metodę stymulacji wielozmysłowej. Rysowałam palcem po literze wkomponowanej w obrazek, którego nazwa zaczynała się od tej litery, jednocześnie wypowiadając ją. Mama „rysowała” jedną z liter na moich plecach. Moim zadaniem było odgadnąć, którą. Najczęściej myloną przeze mnie parą były litery „d” i „b”, dlatego ćwiczenia tych dwóch liter były najczęstsze. Mama starała się powiązać literę z jakimś przeżyciem emocjonalnym, co ułatwia zapamiętywanie. Opowiadała mi np. o moim dziadku, który kupił działkę. „Najpierw wybuduje dom – mówiła - a potem zasadzi tam drzewo. Pamiętaj literę >>d<<: najpierw dom (kółko) a potem drzewo (laseczka)”. Moje ćwiczenia z mamą zaowocowały powstaniem później zbioru ćwiczeń pod tytułem: „Trudne litery: p-b-d-g”.

Tak jak przewidzieli moi rodzice, nauka sprawiała mi ogromne trudności, dlatego mało mnie interesowała. Szkoła kojarzyła mi się ze strachem, niepowodzeniem i wstydem. Nie pamiętam jakichś traumatycznych przeżyć z nietolerancyjnymi nauczycielami w roli głównej. Wydaje mi się, że największą przykrością dla mnie wówczas był fakt, że w przeciwieństwie do moich najbliższych koleżanek (wywodzących się z tego samego, co ja środowiska) nie byłam dobrym uczniem. Musiałam chodzić na lekcje wyrównawcze i ślęczeć codziennie nad pracą domową do późnych godzin nocnych. Pamiętam sytuację,

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

kiedy przed wyjściem na lekcje bolał mnie brzuch, a także takie, gdy na widok budynku szkolnego robiłam w tył zwrot i wracałam do domu.

Rodzice jednak nie pozwolili, żeby reakcje ucieczkowe stały się moją strategią przetrwania w szkole i przerodziły się w zwyczaj. Jakie stosowali metody wychowawcze? Przede wszystkim bardzo jasno precyzowali swoje wymagania i konsekwentnie je egzekwowali. Nie pobjęzali mi. Posiadanie opinii o dysleksji nie było żadnym zwolnieniem od pracy – wręcz przeciwnie - musiałam pracować więcej niż moi koledzy i koleżanki z klasy, ćwicząc te umiejętności, które im przychodziły bez trudu. Nie było mowy, żebym nie poszła do szkoły, na przykład z powodu „nieprzygotowania do sprawdzianu”, a pracę domową musiałam mieć zawsze odrobioną. Moi rodzice dużo wymagali ode mnie, ale sami oferowali mi bardzo wiele – przede wszystkim bezwarunkową miłość, pomoc i wsparcie. Żywo interesowali się moimi wynikami szkolnymi (tzn. postępami w nauce a nie ocenami. Nigdy nie zależało im na tym, abym przynosiła przysłowiowe same piątki do domu). Pozostawali w kontakcie ze szkołą, chodzili na wywiadówki. Celem ich wizyt w szkole była przede wszystkim wymiana informacji z nauczycielami, a nie kontrola, wyklócanie się o stopnie czy obrona prześladowanego dziecka (jak to niejednokrotnie bywa w przypadku rodziców uczniów z trudnościami w szkole). Prezentowali „demokratyczny styl wychowania”, który można scharakteryzować w następujący sposób: jasne reguły i standardy, konsekwencja w stosowaniu środków wychowawczych, ciepło emocjonalne i podmiotowy stosunek do dziecka.

W tym okresie najbardziej interesował mnie sport, w którym odnosiłam spore sukcesy, i moje pierwsze poważne przyjaźnie, niestety, nie zawsze szczere. Moja koleżanka, która była prymusem, potrafiła mi bardzo dokuczyć z powodu moich słabych wyników w nauce. W pamięci zapisały się szczególnie dwie sceny. Pierwsza, kiedy po kolejnych międzyszkolnych zawodach

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

sportowych siedzimy na basenie, w strojach kąpielowych i czepkach. Podziwiałam mój dyplom wydrukowany na ogromnym arkuszu papieru. Zająłam wówczas jedno z pierwszych miejsc. Moja „przyjaciółka” Ewa, która osiągnęła gorszy wynik, powiedziała: „Nie ciesz się tak, najpierw naucz się czytać”. Innym razem Ewa zagroziła, że jeżeli jeszcze raz dostanę dwóję za brak pracy domowej, przestanie się ze mną przyjaźnić.

Wiem, że niektórych mogą dziwić te dwóje za brak pracy domowej, bo przecież rodzice regularnie odrabiali ze mną lekcje. Problem polegał na tym, że bardzo często „nie wiedziałam”, co było zadane. Teraz, kiedy pracuję z osobami z dysleksją, wiem, że jest to bardzo powszechny problem dyslektyków. Na koniec pierwszej klasy wszystkie moje najbliższe koleżanki otrzymały ocenę „bardzo dobrą”, tylko ja miałam (aż) - „dobrą”. Dla mnie był to sukces okupiony ogromnym wysiłkiem. Zawdzięczałam go przede wszystkim mojej mamie, która systematycznie ze mną pracowała po lekcjach.

W czwartej klasie z powodu uporczywych przeziębień zmuszona byłam zrezygnować ze szkoły sportowej. Był jednak i drugi powód – w trzeciej klasie oznajmiłam moim rodzicom: „Wypiszcie mnie ze szkoły sportowej, bo tam będą teraz same treningi, a ja już chcę czytać!”. To były pierwsze rezultaty czterech lat zmagania z dysleksją. Opuściłam szkołę sportową, być może przekreślając szanse na zrobienie kariery pływackiej i ryzykując, że moja niechęć do szkoły będzie się pogłębiać. Ku zaskoczeniu całej rodziny stało się zupełnie inaczej.

Przełom nastąpił w klasie V, kiedy zmieniłam szkołę i trafiłam na wspaniałą panią od języka polskiego, która odkryła moje zdolności literackie. Była to osoba o wielkiej klasie. Bardzo imponowała mi swoją elegancją, poziomem i wiedzą. Większość uczniów nie przepadała za nią, ponieważ była bardzo wymagająca i surowa, a kiedy jej coś nie odpowiadało, nie przebierała w słowach. Przez cztery lata bardzo wiele się od niej nauczyłam: przede wszystkim tego, że warto wierzyć, ale także i wymagać od siebie, bo daje to

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

wymierne korzyści. Od tamtego czasu coraz lepiej radziłam sobie z nauką, wypracowując własne strategie uczenia się. W przypadku osób z dysleksją zalecane jest, aby jak najwcześniej odkryły one swój styl uczenia się i wypracowały własne sposoby radzenia sobie ze swoimi trudnościami w nauce. Dzięki solidnemu treningowi, jaki przeszłam na początku szkoły podstawowej, nauczyłam się systematyczności i pracowitości, którym to cechom zawdzięczam większość moich późniejszych „sukcesów naukowych”. Szkołę podstawową ukończyłam ze świadectwem z czerwonym paskiem, na maturze dostałam ocenę celującą z języka polskiego i piątkę z języka francuskiego, który zdawałam eksternistycznie.

Od najmłodszych lat pasjonowało mnie rysowanie i malowanie. Mój ojciec, artysta – plastyk z zapalem rozwijał moje zainteresowania, często zabierał mnie na wystawy i udzielał lekcji rysunku. Przez całą szkołę średnią przygotowywałam się do egzaminu na Akademię Sztuk Pięknych. Jednak tuż przed maturą zaskoczyłam wszystkich i złożyłam dokumenty na filologię polską, na którą dostałam się bez najmniejszych trudności.

Na szczególną uwagę zasługuje moja przygoda z językiem francuskim. Zaczęłam się go uczyć jeszcze w szkole podstawowej. Pamiętam, że głośno wyrażano przy mnie powątpiewanie, czy mogę (przy moich ograniczeniach) nauczyć się kiedykolwiek dobrze jakiegoś języka obcego. Trudno się temu dziwić: przez kilka lat chodziłam na prywatne lekcje, a także uczęszczałam na kurs do Alliance Francaise. Moje postępy były jednak mierne. Potrafiłam powiedzieć niewiele więcej ponad: „Je m’appelle Catherine”. Po ukończeniu ósmej klasy wyjechałam na wakacje do francuskojęzycznej części Belgii i tam zmuszona byłam posługiwać się wyłącznie językiem francuskim. Po raz pierwszy w życiu miałam szansę uczyć się języka metodą stymulacji wielozmysłowej, tak obecnie polecaną osobom z dysleksją. Widziałam jabłka na straganie. Słyszac i jednocześnie wymawiając ich nazwę, patrzyłam na napis

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

*pommes* (jabłka w języku francuskim). Trzymałam jabłko w dłoni, czułam jego zapach i smak w ustach. *Une pomme* - niezapomniana lekcja!

Tamte wakacje były dość nudne. Mieszkałam w domu, w którym każdy dzień wyglądał tak samo, miałam niewielki wpływ na narzucony odgórnie program. Dlatego z nudów przerabiałam podręcznik do francuskiego. Z własnej inicjatywy codziennie robiłam kilka stron, które sprawdzała Andree - Belgijka, u której gościłam. Bardzo mi pomagała – na moje prośby robiła dyktanda (choć ku zaskoczeniu wszystkich od początku nie miałam szczególnych problemów z ortografią) i sprawdzała moje listy. Narzuciłam sobie żelazną dyscyplinę i wszystkie listy do Polski pisałam wyłącznie po francusku, ku rozpaczy mojej rodziny i przyjaciół, ale efekt przerósł moje oczekiwania. W ciągu dwóch miesięcy zrobiłam zdumiewające postępy. W Belgii spędziłam wakacje jeszcze dwukrotnie. Jednocześnie przez całą szkołę średnią chodziłam na prywatne lekcje. Moim drugim językiem obcym, nie licząc rosyjskiego, którego nigdy się nie nauczyłam (chyba z przekory), był język angielski. Od początku (tzn. od pierwszej klasy liceum, kiedy zaczęłam się go uczyć) nie sprawiał mi większych trudności. Ale też nie miałam jakiejś szczególnej motywacji do nauki, dlatego w wieku 21 lat mój poziom można było określić najwyżej jako średniozaawansowany. Nie podchodziłam do FCE ani do ACE - szkoda mi było wydawać na ten cel pieniądze. Wówczas zdecydowałam się na wyjazd do Anglii i obiecałam sobie, że nie wrócę bez dyplomu Proficiency. Zdałam go po półtorarocznym pobycie w Londynie. Biedni moi przyjaciele i rodzina – tym razem zmuszeni byli czytać moje listy po angielsku! Do Polski wróciłam po dwóch latach. Byłam wówczas na trzecim roku filologii polskiej. Dyplom obroniłam na ocenę bardzo dobrą. Potem skończyłam jeszcze drugi kierunek studiów – psychologię, którą studiowałam w trybie dziennym, jednocześnie pracując zawodowo w pełnym wymiarze godzin.

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

Miałam wiele szczęścia w życiu. Jak głosi popularny dowcip: „Jednym z najważniejszych talentów w życiu jest wybrać sobie odpowiednich rodziców”. Po pierwsze dzięki moim rodzicom wcześniej zostałam zdiagnozowana i od najwcześniejszych lat systematycznie pracowałam pod opieką specjalisty – mojej mamy. Moi mądrzy rodzice nigdy nie koncentrowali się na szkolnych porażkach, natomiast zawsze podkreślali moje „mocne strony”, zachęcając mnie do rozwijania zainteresowań i nagradzając osiągnięcia. Trudno dzisiaj z perspektywy czasu obiektywnie ocenić, czy faktycznie byłam ponad przeciętnie zdolna w pływaniu czy sztukach plastycznych. Natomiast prawdą jest, że przez całe dzieciństwo i okres adolescencji poświęcałam się tym dwóm dziedzinom i odnosiłam w nich sukcesy. Nie jest dla mnie jasna zależność przyczynowa: czy miałam sukcesy, bo byłam uzdolniona; czy byłam dobra, bo szansa na sukces (którego musiałam się wyrzec w innych dziedzinach) motywowała mnie do ciężkiej pracy, której konsekwencją z kolei były wysokie osiągnięcia.

Niektórzy rodzice dzieci z dysleksją popełniają błąd, nadmiernie koncentrując się na wynikach szkolnych (mierzonych średnią ocen). Niektórzy z nich nawet zabraniają swoim dzieciom angażować się w jakiegokolwiek zajęcia pozalekcyjne, bo „najważniejsza jest szkoła”. Dziecko nie powinno oczywiście zaniedbywać swoich obowiązków szkolnych, ale nie oznacza to wcale, że musi rezygnować ze swoich zainteresowań. Jednym ze sposobów, w jaki rodzice mogą zatroszczyć się o dobrą samoocenę dziecka, jest właśnie upewnienie się, że ma szansę osiągać sukcesy na jakimś innym polu (może być to karate, modelarstwo, taniec, gra na gitarze itd.). I nie chodzi tu jednak wcale o jakieś wybitne sukcesy.

Moim rodzicom także zawdzięczam, że zrobili wszystko, żeby umożliwić mi wyjazd za granicę, co w tamtych czasach (lata osiemdziesiąte) nie było łatwe. Dzięki tym kilkakrotnym zagranicznym pobytom przełamalam barierę językową. Miałam też szczęście, że moja dysleksja okazała się być

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.



umiarkowanego stopnia i systematyczna terapia usunęła problemy. Aż strach pomyśleć, kim byłabym dzisiaj, gdyby nie udało mi się przełamać moich trudności oraz przewyciężyć niechęci do nauki i szkoły.

Ludzie często pytają mnie, jak sobie radzę dzisiaj z moją dysleksją. Właściwie nie robię już błędów ortograficznych. Zdarza mi się to sporadycznie, kiedy się spieszę, jestem zdenerwowana, bardzo zmęczona albo wyjdę z wprawy. Po moim dwuletnim pobycie w Anglii, gdy rzadko pisałam w języku ojczystym, wróciły moje problemy z ortografią, ale na krótko. Potrzebuję również chwilę czasu do namysłu, zanim zdecyduję, która moja ręka jest prawa, a która lewa. Na co dzień nie komplikuje mi to życia, ale kiedy robiłam prawo jazdy, od razu umówiłam się na 60 godzin jazdy (standardem było 20). Teraz zdarza się, że siedzący obok mnie pasażer w ostatniej chwili rzuca: „Skręć w prawo!”. Szybko zerkam wówczas na jedną rękę. Jeżeli jest przy tym obecny ktoś z mojej najbliższej rodziny lub przyjaciół, uśmiecha się dyskretnie, bo zna mój sekret. Pewnego dnia, dość zresztą niespodziewanie, na mojej prawej dłoni pojawił się pieprzyk. Czy w mojej sytuacji można nie mówić o szczęściu?

Na koniec chciałabym jeszcze dodać, że czasy tak bardzo się zmieniły, a społeczeństwo dzisiaj jest o tyle bardziej tolerancyjne w kwestii jakiegokolwiek inności niż w latach osiemdziesiątych, kiedy chodziłam do podstawówki, że mam wrażenie, że moja dysleksja przestała mnie w jakikolwiek sposób wyróżniać. Dowodem niech będzie następujące zdarzenie: pewnego razu napisałam artykuł na temat dysleksji do niewielkiej gazetki lokalnej. Zniosłam dyskietkę z tekstem do redakcji i poprosiłam, żeby go ktoś dokładnie sprawdził, ponieważ zdarza mi się robić błędy ortograficzne (nie przyznałam się, że posiadam opinię o dysleksji). Pan redaktor uprzejmie odpowiedział, że oczywiście przeczyta mój artykuł, ale niczego nie może zagwarantować, ponieważ ma dysleksję. „W takim razie zabieram artykuł. Oddam go do sprawdzenia mojej przyjaciółce, która jest redaktorem i korektorem”-

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.

odpowiedziałam. Sprawdzony tekst przyniosłam następnego dnia. Pan zwrócił uwagę, że brakuje tytułu. zaproponowałam „Język angielski dla osób z dysleksją” i redaktor w mojej obecności wprowadził ten tytuł. „Artykuł jest już po korekcie, proszę w nim nic nie zmieniać!” – powiedziałam na pożegnanie. Kiedy wyszedł nowy numer dwutygodnika z moim artykułem, z dumą pokazywałam go swoim znajomym. Wszyscy mi gratulowali, tylko moja mama zachowała trzeźwość umysłu. „Ale tu jest błąd” - powiedziała i wskazała ręką na tytuł. Dużymi literami było tam napisane: „JĘZYK ANGIELSKI DLA OSÓB Z DYSKLEKJĄ”.

Ten artykuł ukazał się m.in. w: Bogdanowicz, K. M. (2008). W czepku urodzona, czyli portret szczęśliwego dyslektyka. W: M. Bogdanowicz (red.), Portrety nie tylko znanych osób z dysleksją. Gdańsk: Wydawnictwo Harmonia: 261–269.